

boczny

Nr 4

tor

piśmiennictwo z przeszłości

HISTORIA KAŻDEJ JEDNOSTKI
MIANOWICIE, HISTORIA KAŻDEJ
ZBIOROWOŚCI I HISTORIA CAŁEGO
ŚWIATA NIE BIEGNIE PO ŁUKU,
CORAZ MOCNIEJ I PIĘKNIEJ SIĘ
NAPINAJĄCYM, ALE PO TORZE,
KTÓRY, OSIĄGNAWSZY POŁUDNIK,
OPADA W CIEMNOŚĆ.
W.G. Sebald

Uwaga! ten numer
powinien zwierać

Jesień szybuje ponad wodami, co będzie z nami? Pożyjemy, zobaczymy. Może pogramy w albo-albo lub w grę dziecięcą na zawsze: dlaczego jest dlaczego? Odłóżmy, jak to mówią - na zaś, swoje przeznaczenie, zwolnijmy się z obietnic, zaspokojeni tym, co jest. To, czego nie ma, upomni się o nas samoistnie. Wiadomo czym kończy się noc, gdy kałuża przestaje być oceanem. Nie dramatyzuj jak nurkująca w wydme sosna, co korzeniami pcha się do gwiazd. Na brzegu, w mule, ślady stóp. Wystarczy dopasować. Świat pełen jest zużytych metafor.

Wprawdzie wyobraźnia, poddana mammografii, cofa nie dość pieszczone piersi, ale jeszcze czas, by wygodnie rozciągać się w rozleniwieniu i wsłuchiwać w mormorando chmur. Tak niewiele trzeba, by zapomnieć, nie myśleć: czy był powód, dla którego wezwano nas na to spotkanie?

Zdarza się być, jak na krawędzi brzytwy, świadkiem siebie - własnocznie i własnomyślnie obserwować, i być obserwowanym - doświadczać siebie na własnym przykładzie i w porównaniu z innymi.

Zwłaszcza to ostatnie się zdarza.

NACHALNE, LEPKIE I NIEUNIKNIONE.

Jest i będzie.

Bo zawsze znajdzie się jakiś insekt, który wstrzyknie ci swędzący niedosyt. Twoja forma sflaczeje i utracisz pewność, której i tak było odrobinę, byle przetrwać z dzisiaj do dzisiaj, ale trochę później. Będziesz się bronić, będziesz rozdrapywać - w nieskończonych próbach obrachunku z każdym możliwym wcieleniem do każdej możliwej roli - to coś, co było ci bliskie, usprawiedliwiające błędy, co oswajało głodnego sobowtóra.



Jaką formę przybierzesz, manekina w co ubierzesz?

Jeśli potrafisz, jeśli dasz się sformatować, to jak: uniwersalnie czy kontekstowo? Grać chcesz na użytek akceptacji, zaistnieć jako kto: widmo wdzięku nagradzane zaproszeniami na rauty i wyprzedaje?

Jeśli pragniesz zakopać się żywcem - i maniacko, z uporem aż do wyczerpania sił vitalnych, zanurzać się głębiej, wciąż głębiej, w sedno gęstniejące i powikłane, rozłupując o niejasne potrzeby niedorozwinięte końce spierzchniętych pięści - są na to sposoby. Wszystkie zwodnicze, wszystkie zawodne.

Komu znudził się los ślepego kreta, ten wie. I jeśli łaknie zagarniać, weselić się nagrodą, nie zmami go podkopywanie dalekiego nieba.

Dotykając nagiłych nabrzmień, macamy w próżni. O próżni zatem więc.

Więc ona-ono-on, ten twór bliźniaczo podobny do wszystkiego, w którym kochasz, w którym mieszkasz, w którym zabiegasz o względy, który cię zjada, a myślisz, że ty-jesz, bo jesteś tu-oto-tak; więc o tym właśnie zwodniczym pobycie, stanie posiadania, czyli właściwie o niczym, to jest.

- eSzej rozliczeniowy
Jana Marii Błagiego
„Szkice szkice i po połowie”
- reportaż dekonstruktywistyczny
Jowity Sęk-Poe „Niewyraźny
manuskrypt: Jak napisać
blackwoodowski artykuł”
- *
panel dyskusyjny
„Postsoboryzm interferalny
a natura naturalis”
- *
mdzą antylogię wierszy
autoreklamacyjnych
do przeczekania w holu dworca
w przerwie przeznaczonej
na sprzątanie baru (5⁰⁰-6⁰⁰)
„W te dni przedostatnie i wewte”
(pokonkursie: MORWODOWI NA RĘCE)
- *
postsynchroniczne przekłady
(niestety, nie Barańczaka)
hermetycznej poezji
niemo-życiowej, m.in.
elegię Miłosa Slovy
„Hunde, wollt ihr ewig leben?”
- *
poemat klasycytujący
Herberta von Krajana
„Odźwierny, idź”
- *
próbkę awangardowej literatury
dla mas, która wypełnia proza@
do samodzielnego rozwiązywania
węzłowych splótów akcji, pt.
„Nie pieprz Pietrze...”
- *
cześć pierwszą wywiadu
rzeki z Wisioką N. Obelską:
„Wezbrafam”
- *
analiżę porównawczą prof. W. W.
oczywiście skandal-
lizująca i na czasie
„Pornografia dzisiaj
- dzisiaj pornografia”
- *
frag-met poradnika
socyopsychologicznego
Erazma Czerstwiusza Bułki
„Polityka małych kęsów”
rozdział X:
„Jak nie dać się wygrzyźć”
- *
wspomnienia naleśnika:
„Życie po życiu
w przejściu podziemnym”
- *
recenzję kulturalnie,
czyli peletony znawców, z cyklu:
„Nic nie powiem, niczym nie
zaniepokoję (Swoje wiem)”

jeśli nie zwierają
a nie masz prenumeraty
e r r a t y
czytaj co jest

AWANGARDA NA WSTECZNYM

Karolina: Czytałam twoje „boczne tory”.
Redakcja: I co?

Karolina: To dla mnie zbyt awangardowe.

Ciekawe, czy możliwe są jeszcze działania awangardowe i co by to miało oznaczać, skoro od słowa do słowa taka dziś rozmowa? Załóżmy lekkomyślnie, że nie musimy zaczynać od uzgadniania tzw. aparatu pojęciowego.

Powiedzmy, że modelowa awangarda czerpie z wybranej tradycji, uczy się jej i na niej, by móc wyciągać wnioski, określić się względem niej i rozpocząć z nią dialog. Dopiero wtedy wykształca „własny” język, formułuje cele, żeby tradycję (dopełniając) przekroczyć, zastąpić czymś innym (lepszym?), zanegować (biegunowo). I żeby stać się (nową) tradycją. Taką awangardę znamy z historii.

Skoro strategia awangardy musi być (p)osadzona w jakiejś tradycji, bo na niej wyrasta, jaką tradycję dla rzeczowej dziś wybrać?

Jak samosiejka rozpanoszył się, zachwaszczając interdyscyplinarnie poletka umysłów, poznawczy relatywizm postmodernizmu, który jest zabawą w rozmnażanie myślowych fraktali, sztuka dla sztuki – beznamytnym szperaniem w indeksach baz danych, cynicznym trafianiem w rekordy coraz atrakcyjniejszych polemicznie tożsamości, ról i znaczeń. Już właściwie nie wiadomo: kto, co, od kogo pożyczka, w jakich proporcjach miesza i jakie składniki zawiera, przeznaczona do użytku zewnętrznego, mikstura słów. I tak dalej w stylu tych akapitów, wszystkie chwytły (retoryczne, itp.) dozwolone, bo w talii nie ma określonej liczby asów, a i ilość rozdań jest nieograniczona.

Kulturowa mozaika nigdy nie miała jednolitego wzoru, co tym bardziej mobilizowało awangardę w usiłowaniach wykreowania zasad systematyzujących nieład. Wierzyła ona w możliwość porządkujących przemian. Bojowa i ukierunkowana, w działaniach raczej euforyczna niż sceptycznie wyrafinowana – stawiała pytania, bo miała odpowiedź.

Ale układ biegunowych prawd dawno się rozpadł.

Obrazem współczesności jest kolaż mentalny podatny na ciągłe przekształcenia. Cyniczna gra w tasowanie wartości daje każdemu z potencjalnych graczy (tak, to o Tobie) szansę udziału w przekładaniu klocków, nie oferując złudzeń, że można zbudować coś, co przetrwa. Możesz robić co zechcesz, ale rób to szybko, bo okres ważności jest krótki, a konkurencja duża.

Awangarda była względem przyszłości naiwnie sentymentalna: z plecami opartymi o wczoraj, patrzyła śmiało w jutro. I widziała to jutro, jak chciała widzieć – w aktywizującej wierze, że na gruzach można wskrzesić nowy ład. Niestety, kończyło się to najczęściej tyranią formy i innymi formami tyranii, dlatego awangarda modna nie jest. Tak samo romantyczne przesadyzmy, pozytywistyczny etos elementarizmu czy, przeciwnie, anarchizujący „mały sabotaż – dużo radości”. Modny jest: „mały kompromis – dużo na koncie”. Tak postawangarda walczy o kasę.

W odruchu przekornej ironii po obejrzeniu reklam w tv, pomyślało się głupio, że chociaż postawa awangardowa jeszcze czasem podnieca, bo urodę ma wybuchową i jest do wzięcia, ale męczą ciągle stosunki bez wzajemności. Zwłaszcza, że nie ma mowy (czy w ogóle była?) o niewinności. Trudno wyobrazić sobie jednolitą rewizję świata w świecie permanentnych rewizji.

Awangarda dzisiaj musi być wsteczna, dlatego nie może być.

No, ale... *errare est humanum.*

d.s.

Andrzej Wręczny

niedopałki

na szczytach mchu w chrust wplata deszcz
pleśń co jak pleśń błądząca bez końca
w miazdze zwilgłego igliwia

pory roku opętane w kwadransach godziny
pociśki znużenia dosięgają ruchomego
celu niewiele to znaczy bo co?

zwierzęca sytość kryje się we mnie
razem wzajemnie pobładziliśmy w lesie
jest wrzesień

w kieszeniach niby borowiki
płat zdrewniałej tkanki
kępa mchu dwie szyszki



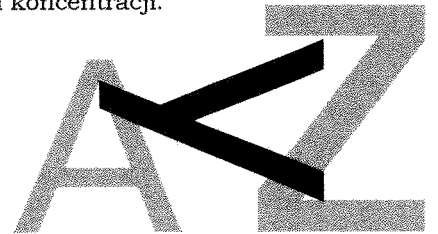
cytatnik

BYLI TACY CO RODZILI SIĘ BYLI TACY CO UMIERALI

Właśnie depczesz po ich grobach.
Za tobą zyzgakowata ścieżka i pokonane
przeszkody. Tracisz węż, śmiałość gubisz,
marzysz o spoczynku, ale coś nie daje ci
wytchnienia, nagania twój pośpiech, który
miesza się z przecuciem niespełnienia.
Mówili ci: nie dojdiesz prawdy, będzie
zawsze o krok przed tobą. Mówią: postaw
się, a... nie zastanawiaj się.

...wszak chcąc coś znaleźć trzeba
wiedzieć czego się szuka. A jeśli
szukamy z postanowieniem znalezienia,
to, co znajdziemy, będzie tylko projekcją
nas samych, będzie tym, czego
pożądamy; a wytwór pragnienia nie
jest Prawdą. Szukać Prawdy to jej
zaprzeczać. /J. Krishnamurti

Bezwiednie przełykasz kolejną pigułkę
słów. Usiłujesz nazwać po imieniu to,
co bezimienne biegnie na skróty,
przekrwione potrzebą wolności skupienia
i koncentracji.



Są to chyba kłopoty epoki: dziś
możliwy jest jeden tylko wybór – między
dwoma równie przesadnymi metodami:
można stawiać albo na rzeczywistość
całkowicie nasyconą historią i ideologizować,
albo, przeciwnie, na rzeczywistość ostatecznie
nieprzenikalną, nieskazitelną – czyli
poetyzować. [...]

Zapewne miarą obecnej alienacji
jest to, że nie możemy uchwycić
rzeczywistości inaczej niż chwiejnie,
niepewnie. Żeglujemy nieustannie między
przedmiotem a jego demistyfikacją, niezdolni
uchwycić całości: jeśli zgłębiamy
przedmiot, wyzwalamy go, ale niszczymy;
jeśli zostawimy mu cały jego ciężar,
ocalimy go, lecz zmistyfikujemy.
Wydaje się więc, że na jakiś czas
jeszcze skazani jesteśmy na to, by
zawsze z przesadą mówić o rzeczy-
wistości. /R. Barthes, 1956

Albowiem słowa nasze kulawe są,
nie nadażają. Co nie przeszkadza nam
wśródęzystować.

...wiedza nie jest sprawą
przywoływania rzeczywistości do
porządku, ale nabieraniem nawyków
potrzebnych dla radzenia sobie
z rzeczywistością. /R. Rorty

BYLI TEŻ I TACY KTÓRYM NIE BYŁO MAŁO

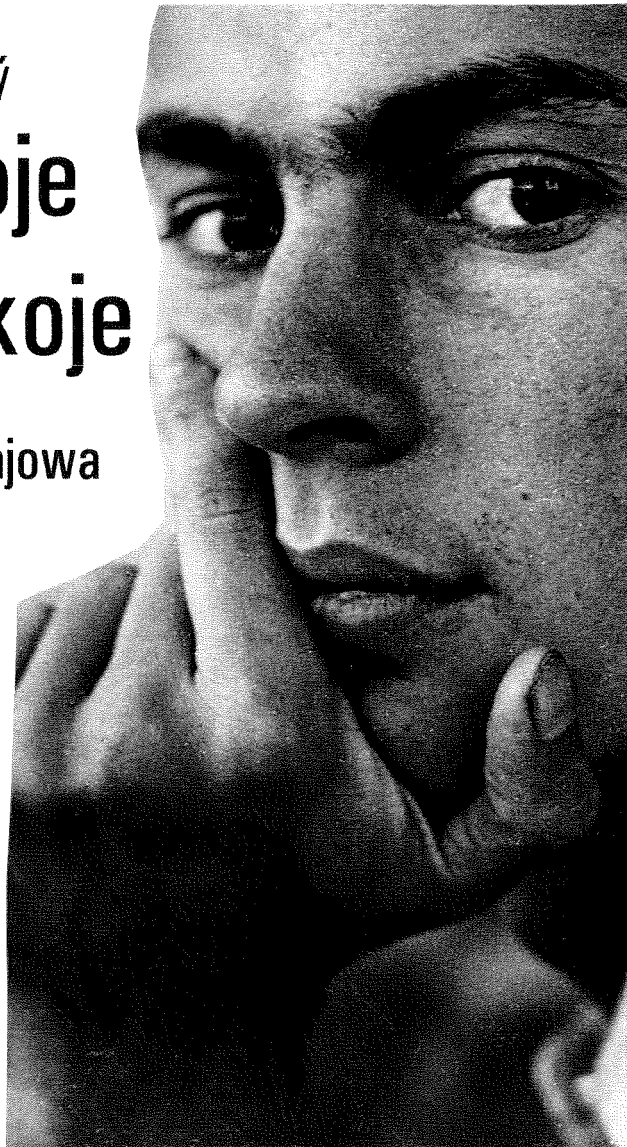
/E. Stachura

Ciesz się chwilą, walcz z próchnicą!

Dlaczego twymi diabelskimi czarami wyrwałaś mnie ze spokoju poprzedniego życia...
Słońce i księżyc błyszczały dla mnie bez najmniejszej sztuczności, budziłem się wśród spokojnych myśli, a rankiem zwijałem liście, aby przystąpić do modlitwy. Nie widziałem zła, nie miałem bowiem oczu. Lecz ja się zemszczę!

słowa Mandragory z *Izabeli z Egiptu* Achima von Arnim

Jean Burý
**Podboje
i niepokoje**
proza obyczajowa



NATURALNIE MIĘTNY
odcinek pierwszy

-
- Najgorsze są te, co się uwieszają.
- Zakochałeś się?
- To chyba na razie, jeśli w ogóle w moim stanie, nie grozi. Jestem znieczulony, ale, paradoksalnie, bardziej narażony... Brak kobiety jest dotkliwy.
- Brak papierosów też – sprowadziłem dialog do wymiaru doraźnych i łatwiej spełnialnych potrzeb.
- Gdzie on jest?

Przechyliliśmy szklanki i resztki płynu zmieniły lokum. Zadomowiła się we mnie ulotna myśl, żeby wstać i wyjść. Nie w poszukiwaniu wysłannika po tytoń, nie z powodu zmęczenia rozmową czy piciem od paru godzin w jednostajnej atmosferze niedomówień, był to raczej przebłysk niedosytu czegoś przestrzennego, czemu warto by było się poddać, zapominając o czasie, który znów zaskakująco przyspieszył. Było po zmroku, niedaleko od domów, bez szans na zmianę krajobrazu czy coś oczyszczającego. Zostałem na krześle, dopasowanym po wielokrotnych przymiarkach. Dobrze, mimo wszystko, mimo że to gównie warte i bez rozgrzeszenia, tak siedzieć, wysiadywać w kumpelskim kamuflażu i wypruwać trochę trocin z kukieł, którymi obrośliśmy przez ostatni – dla jednych pracowity, dla innych bez różnicy, dążący zwyczajowo do sobotnich spotkań – tydzień (albo i dwa) niewidzenia swoich nawzajem nieprzenikalnych mord.

– Niby nic im nie możesz zarzucić – ten drugi, co jak ja przy drewnianym blacie cierpiał, kontynuował swój dokuczliwy wątek. – Pociągają cię, więc w to wchodzisz i miło jest, zmysłowo i tak dalej, no wiesz miód i te sprawy. Ale z czasem odkrywasz prawdę, bo to z nich wychodzi, z niektórych, najgroźniejszych, co mają na ciebie sposób, żeby się uwiesić. Uwieszają się na tobie, bo same nie mają pomysłu, co zrobić ze swoim życiem. Wtedy po prostu są z tobą, uczone twojej energii, są i zostają jak są, oczekując wsparcia, wymuszając swoją aktywność, która nie pokrywa się z tym, co chciałbyś robić sam ze sobą. Te, co się skutecznie uwieszają, nigdy już później nie mają swojej inicjatywy.

– Ktoś musi prowadzić. Jeden kierowca.

– No, zgoda. Ale przecież na dłuższą trasę trzebajechać ze zmiennikiem, a nie sennym pasażerem, co jak się obudzi, to tylko zdziwiony, że wciąż jeszcze jedziesz, a do celu daleko.

– Niektórzy faceci też się próbują uwieszać. Zresztą, jak ktoś jest miękki, to da się urobić. Kobiety to wyczuwają. I jeśli to im pasuje, wykorzystają cię, jeśli nie – znajdą innego.

– Wciąż mnie to podnieca.

– Co?

– Niewiadoma. Kiedy trafię na właściwą.

– Swoją trafia na swego, nie bój się.

– Myślisz, że mężczyźni lepiej znoszą samotność?

– Nie jesteś tego dobrym przykładem.

– Wiesz, Marta nie była zła.

– Była niezła.

– Ale zdziwiło mi się prowadzenie jej za rękę. To tu, to tam. Poddawała się mojej woli. Nie dałem rady tego ciągnąć.

– Może wystarczyło trochę odpuścić, poczekać? Czas jest mistrzem kompromisu. Trzeba coś oddać, żeby dostać. Rzecz w tym, żeby mieć co, i żeby widzieć sens poświęceń.

– Czasem myślę, że nie mam już nadwyżek. Naprawdę uważasz, że miłość to kompromis?

– Nie mówmy o miłości. Jesteśmy na to za starzy.

– Ile lat z nią jesteś? Trzy?

– Pięć. Dopiero niedawno oswoiłem się na tyle, że czuję się sobą. Na nowych zasadach, ale sobą. To trwa, zanim uzgodnisz szczegóły, a i tak popełniasz te same błędy.

– To mówisz, że zainwestowałaś i teraz masz zysk?

– Dokładnie. Na to wychodzi, więc chyba tak jest.

– Widzisz, ja wolę, żeby to było tak: albo coś od razu iskrzy, albo nie.

– Może sobie iskrzyć. I tak się napracujesz, żeby się w tym odnaleźć. Chyba, że od razu wpadniesz w koleiny: rodzina, obowiązki... Nie chce mi się już o tym gadać. Gdzie on przepadł? Ani piwa, ani papierosów. Co my tu robimy?

No właśnie, co? Knapa nazywa się „Pod Aureolą” a my nie chcemy być dziś święci. Przynajmniej ja: ten z nich, co najbardziej naturalnie mętny jak sok jabłkowy nieklarowany.

– Już – to z boku, ten trzeci oznajmił odmianę.

– Nie już, tylko dopiero. Co tak długo?

– Chciałem, żebyście się do mnie stęsknili.

– Tęsknimy, owszem, ale do fajek.

– Częstoście się – rzucił na stół dwie dziewczęce paczki marlboro lights. – Nic nie pijecie?

– Słowa – odpowiedziałem, jak to czasem ja.

– O czym mówicie?

– Streszczał mi swoją teorię uwieszeń – znów ja, ale z postanowieniem oddania im głosu.

– Zaczęłeś teoretyzować?

– Wyciągam wnioski.

– Znudził ci się spontaniczny podryw, co?

– Znudziły mi się drętwe laski.

– Może sam jesteś drętwy. Rozejrzyj się, spory wybór na sali.

– Niewykluczone, że to pułapka. Szukam czegoś specjalnego.

– Przekonaj się. Wyjać, włożyć męska rzecz. No, nie?

– Nie chodzi o seks. Też o seks. Głównie jednak o właściwą lokatę emocji.

– Idę po piwo – wtrąciłem się poza kontekstem ich pozycyjnej wojenki na słowa.

Barman rutynowo nalewał, więc mogłem brawurowo dryfować wehikułem czasu.

•

Zaczęła się dla nas po południu. Wstaliśmy prze-spani, zamroczeni jasnością, oczywistością dnia, który rozpedził się gdzie indziej i w innej obsadzie. Któraś z rzędu, może nawet ostatnia, wiosenna sobota w tym roku. Dla mnie bez specjalnego znaczenia, nie skonkretyzowana, jakbym bluźnił, że mamy ich jeszcze w nadmiarze. „Co z tym zrobić?” unosiło się jak kurz w strudze światła. Kompletną plajkę oddalała niemrawa, ale jednak jakaś, wysiłona ruchliwość.

Moja – objawiająca się czajnikiem na gazie, pościelą w norze tapczanu, lądowaniem kanapek z kolacji na kosmicznym talerzu między kubkami, w których czarny popiół przed kąpielą skojarzył się samowolnie z ssaniem w brzuchu. Więc papieros też, ale najpierw kęs zmrożonej kromki, żeby nie na czczo.

Jej ruchliwość – na pozór tajemnicza, ukrywająca się w łazience, czasem, ale nie teraz, odkrywana przeze mnie w ciepłym zapachu kremu i w kojącym drapanie w gardle smakiem mięty na języku. Jeszcze kilka niekłopotliwych, bo doprowadzonych do perfekcji, zabiegów kuchennych. Obrus na stół i już wiem, że pistolet z pierwszego aktu, wystrzelił w finale.

– Jakie masz plany? – pytam, bo sam nie mam żadnych (*i kto tu się uwiesza?*, przypis naprędce notuję w ciasnym wehikule).

– Pełno tu kurzu. Zjemy, potem sprzątamy.

– Dobrze, że powiedziałaś: potem. Nie mam ochoty się pocić.

– Zawsze się oszczędzasz. I co z tego masz?

– Mam co mam.

– A ja jem. Zaraz przestanie mi smakować. Musisz zacząć dzień od marudzenia.

– To pytanie czy stwierdzenie?

– Nie zaczynaj. Psujesz mi humor.

– Można zepsuć coś, czego nie ma?

– Nie chcesz sprzątać, to chociaż nie przeszkadzaj. Nie mogę żyć w brudzie. Może dlatego mam od rana zły nastrój. Muszę trochę tu posprzątać, ty tego nie zrobisz.

– Sąsiedzi już dawno zaczęli. Tak na ciebie działa atmosfera sobotnich porządków?

– A kiedy mam to zrobić? Też pracuję. Ale w odróżnieniu do ciebie, poczuwam się do pewnych obowiązków. Dla ciebie sobota to tylko odpoczynek. Wszystko muszę robić sama, więc po co mi jesteś?

– Sama sobie odpowiedz.

– Lepiej mnie do tego nie zachęcaj, bo wnioski będą dla ciebie niepomysłne.

– Czyli?

– Już straciłam apetyt.

– Bo sporo zjadłaś.

– Wypchaj się!

– Wolalbym w formalinie.

Odpowiedź przeszła huraganem po stole. Zareagowała w sposób oczekiwany. Nie była nią. Może tę różnicę rozumiała, aluzji nie.

Wiele już zapomniałem, staram się, nie mogę. Wlokę za sobą, jak kometa pył, rozproszone i nagle skupiające się w ognistą kulę zagrażającą spokojowi na ziemi tęsknoty nie spełnione poprzednich wcieleń. W przeszłym życiu miałem kobietę, która pasjonowała się utrwalaniem zwłok. Szkielet jaskółki co wypadła ze skorupy pod sufitem, szczeniła tubka kreciego truchła znaleziona w piachu przy domu, sucha gąbka jeża zaszczytowanego na amen przez szybkie opony i inne pomniejszych ścierwodziwadła zatopione w formalinie i przechowywane w matowiejących stoikach – jej kolekcja była dla mnie niezrozumiałą przestroga. Inaczej – przestroga rozumianą zbyt późno. Uczestniczyłem w eksperymencie. Byłem przedmiotem uwagi, obiektem wiwisekcji i seksualnych doświadczeń nekrofilki.

Ubięła się na czarno, farbowała kruczo włosy, czytała Wojaczka. Mówiła, że próbowała kariery jako wiedźma. Trudno w to było uwierzyć, patrząc na jej niewinną twarz. Łatwiej, będąc doświadczałym królikiem. Może i była niewinna, a zawinili ci, co się w niej nieszczęśliwie kochali. Nie umawiając się, wszyscy byliśmy pod jej urokiem. Nawet jeśli nie wszyscy ją adorowali, coś było „na rzeczy”, że zawsze ktoś wokół niej się kręcił. Podsycała niedosyt. Lubiała to. Śmierć miała dla niej smak mężczyzny.

Poczuła to po samobójstwie ojca. Kiedy matka była w pracy lub gdy usypiała, zmęczona ośmiodziesięcioletnim stemplowaniem formularzy i nadgodzinami w domu, ona – w przerwach między obrzędami wspierania osamotnionej kobiety, co dla kilkuletniej półsieroty stanowiło dostateczny powód popadania w mroczną samodzielność – usilnie próbowała znaleźć sposób na przywołanie duszy nieobecnego. Za dnia zapadała w samotniczą medytację, wymykała się babci, co do której nie miała już wątpliwości, że ufa siłom nieskutecznym, dręcząc wnuczkę coniedzielnymi starodawnymi kazaniem po jeszcze nudniejszych kazaniach, od jakich uciekała myślami, licząc ludzi w kościele albo planując poślubienie księdza. Wieczorem dojrzywała w przyspieszonym tempie do zdecydowanych działań, aby w nocy zakradać się do kuchni, jeść chleb z musztardą i wypowiadać

słowa na wspak: log ezdiwan ein, og ezdiw ein. Czekala aż zaklęcia poskutkują i spadnie na nią dogłębny smutek pomieszany ze złością, dający się poruszania przedmiotów, wskrzeszenia zmarłych, władzę nad własnym łękiem. Starania zawodziły. Wracała do rzeczywistości, czując szorstką dłoń babki, która wstawiała najwcześniej, regularnie budzona misją przygotowywania śniadań. To musiało się stać, że raz kiedyś w kredensie znalazła się martwa mysz.

„Już starożytni wróżyli ze zwłok” – wyjaśniała, pokazując mi okazy ze swojej kolekcji. „A poza tym te szczątki są wylegarnią moich snów. To moje dzieciństwo i moja dojrzałość. W nich się przeglądałam.”

Poznałem ją na jednej z tych pamiętnych imprez bezokolicznościowych, w jakie obfitowały tamte nieodwracalne w skutkach lata. Byłem wtedy poetycko usposobiony, więc wydała mi się podobna do róży o nadłameanej łodydze. Zależnie od punktu patrzenia, a często zmieniałem perspektywę starając się nie tracić jej z oczu, ujawniała inną cechę swojej zewnętrżności. Od tyłu zrezygnowana, jakby za chwilę miała zedrzeć z siebie rajstopy, z boku zachęcająco powabna, wiotka, ale zarazem wyraziście stojąca na ziemi, pewna siebie nawet bez oparcia, en face pogardliwie rozmarzona. W jej spojrzeniu była jakaś niedookreśloność zapatrzenia, jakby wzrokiem przecinała na wskroś powietrze, widząc więcej niż inni, co, nawet gdy okazało się wadą wzroku numer minus dwa, nadal zaślepiało naiwnych jak ja. Byłem naiwny, bo z oddali wyglądała jak uśpiona w tańcu, który trwa i trwa, i nie przestanie, póki jej nie zbudzę, odkrywając z bliska, że kontakt z nią jest jak pojedynek pogaństwa z wiarą w jednego boga. Nie opowiedziałem się wtedy za żadnym z oferowanych wizerunków. Wołałem widzieć jej obraz we mgle rozproszonych, nieregularnych odłamków. Ten obraz pulsował we mnie. Powinienem był się z nią przespać, może by mi przeszło.

•
– Zakochałeś się, odkochałeś, znów się zakochasz. Już to przerabiałaś nie raz. Prawda? – jeden z tych dwojga, którzy nie byli mną, szukał potwierdzenia.

– Wy ciągle o tym samym? – spytałem, żeby się upewnić, czy rzeczywiście jestem, gdzie jestem. Wylądowałem w ich czasoprzestrzeni. Postawiłem piwo, sięgnąłem po papierosa i dopiero wtedy poczułem ulgę.

– Nieustająco – odpowiedział, który nie pytał.

– Więc posłucham.

– A posłuchaj, bo to ciebie też dotyczy. Mówiłem mu, że powinien się już uodpornić, żeby wreszcie wyzwolił się z niepotrzebnych dylematów.

– I żył bezrefleksyjnie – zakpiłem nieudolnie.

– Jesteś taki sam. I co z tego masz?

– Mam co mam – powtórzyłem opanowaną kwestię. – A ty jesteś szczęśliwy?

– Te wszystkie śliskie obmacywanki z rzeczywistością, te wasze nieszczęśliwe dramaty mamy z sobą – co mówiąc, pokazał nam, dwojgu nie-

dowiarków cierpiących jak jeden mąż, obrączkę na palcu. – Mam to za sobą.

A resztę na boku, chciało mi się dodać, ale najwyraźniej nie za bardzo, bo zamilkłem, nie przekonały, mimo że przecież dziecko, realne problemy, poważne plany na przyszłość – to konkretne dowody. A jednak coś wciskało się nachalnie w jego pewność, którą dobrze potrafił przed nami odgrywać. Jest chirurgiem codzienności, gdy ja sprzątam izbę przyjęć. Wcale mu nie zazdroścę, co nie znaczy, że mnie nie denerwuje że sprawia wrażenie jakby zamknął za sobą drzwi a zachował dla siebie słodki sekret: nie przekręcił klucza w zamku. Wchodził tu, wzbudzając poruszenie paru nieletnich i tych letnich też, jakby wciąż miał na sobie bluzę z napisem na plecach: who next? Może nawet to była ta sama, na którą narzucił dziś marynarkę, bo panny wszak nieustannie spragnione są prawdziwych mężczyzn.

– Pytasz czy jestem szczęśliwy? Głupio postawione pytanie. Mam za dużo do stracenia, jeśli nie będę.

– Nie pytam co musisz, ale czego chcesz tak naprawdę.

– Chcę co muszę, muszę co chcę. Żadna różnica.

– Dla mnie zasadnicza.

– Te twoje naiwne zasady. Nie nadążasz za rzeczywistością. Przerasta cię?

Odpaliłem papierosa od papierosa.

– Nerwowo się zrobiłeś – zauważył.

– Zawsze byłem. Mało mnie znasz.

– To się rzuca w oczy.

– Że mało się znamy?

– Uciekasz.

– Dzień miałem do niczego. Znadto kłótlivy był.

– O co poszło?

– Zaczęło się drobiazgiem, od kurzu.

– A skończyło na sprawach ostatecznych?

– Niezupełnie. Wystarczyło zerwanie obrusu i stłuczony talerz.

– Znam to. Życie to nie rurki z kremem, jak mówi moja żona.

Rozmowa wbiegła na znajome podwórko, to samo, z którego dochodził odgłos trzepania dywanu, jaki wyprowadził mnie z piwnicy snu i posadził przy stole naprzeciw tej, z którą się nie wyspałem, więc znów klóciłiśmy się jak najszcześliwsza pod słońcem para.

•
Nie było to wszystko, co miałem jej do powiedzenia, ale i tak rozumiała więcej. Nie musiałem przeproszać, że zamyśliłem się. I tak podała wstępne: „albo się zamysłasz, albo zmyślasz”, aby następnie zaserwować: „Kiedy będziesz otwarty na mnie? Ten związek mnie męczy. Może znajdziesz sobie kogoś odpowiedniejszego dla swoich słabości? Może wrócisz do niej? Zostaw mnie. Ona nie czeka na ciebie, ale pewnie ucieszy się, że nie jesteś już ze mną. Przecież jest taka jak ty, złośliwa i cyniczna. No, zrób to. Ja też rozejrzę się wokół. Po co mamy tak sobie marnować życie. Przemyśl to, bo będzie za późno. Ani się spostrzeżesz, a wszystko straci sens. Jest go już niewiele. Prawie nic. Chcesz usłyszeć, że twój czas minął, a ja nie mogę już dłużej czekać?” Na to była jedna

tylko odpowiedź: „wychodzę”. I jeden cel: nie myśleć. I skutek jeden: „co robicie dziś wieczorem, może byśmy się spotkali?” Wszystkie drogi prowadzą do nocy. Później już tylko sen.

•
– Dobrze to znosisz, bo może lepiej grasz – powiedziałem, żeby nie myśleć o tym, co przywiódło mnie na ten tu trójosobowy zlot weteranów i umieścić się jakoś w treści rozmowy z tym, co wie czego musi chcieć.

– Kto ci broni? Wszyscy grają. Na tym to polega. – Jest we mnie jakaś przeszkoda. Nie chce mi się tego rozwijać ani definiować. Jest przeszkoda w mojej świadomości. Wciąż mam wątpliwości: grać czy być szczerym.

– Więc graj na pograniczu szczeroci. Nie umiesz?

– Pewnie umiem. Wciąż próbuję różnych ról, próbuję je sobie wyobrazić i dopasować się do nich. Ale nie mogę się ostatecznie na żadną zdecydować.

– Od kiedy cię znam, zawsze byłeś pod tym względem opierdalaczem. Musisz coś wybrać, a coś odrzucić. To przymusowa sytuacja. Musisz się w końcu z czymś utożsamić.

– Z czym konkretnie?

– Z jakąś postawą na życie. Sam zdecyduj.

– Podejmowanie decyzji to moja słaba strona. Zawsze mówię sobie, że co będzie, to będzie.

– A, tam. Nie możesz być całe życie naiwnym minimalistą. W co ty wierzysz?

– W mojej głowie jest chyba kobieta, która zbyt często miewa metafizyczne niepokoje.

– To się z nią rozstań. I zajmij się tą, z którą mieszkasz i na ciebie czeka.

– Z nią też mam się rozstać?

– Musisz sam zdecydować co z tym zrobić. Bo wyraźnie to cię męczy. Masz za mało odwagi? Ożeń się, zmień pracę, zacznij zarabiać, spraw sobie dziecko, to się psychicznie wyprostujesz.

– I fizycznie zgarbię.

– Ja się nie garbię. To kwestia charakteru.

– To kwestia formy – dodał ten drugi, co mógłby być mną i rozmawiać jak ja z tym trzecim.

– Chodzi ci o formę jako taką? – spytałem, upatrując w jego uwadze możliwość zaprezentowania własnego stylu. W czym jak w czym, ale w tematach gombrowiczowskich mogłem popływać.

– Taką i owaką – uciął jednak ten, co kierował rozmową. – Najpierw skończę, co miałem ci do powiedzenia, a później możecie sobie rozmawiać nawet o czystej formie. Więc mówisz, że się boisz zgarbić?

– Nie będę gonił za tym, czego i tak nie dogonię – odpowiedziałem zrezygnowany.

– Nie bardzo rozumiem co masz na myśli.

– Sam już nie wiem. Myślę o potencjalnych swoich szansach na przyszłość, ale życie i tak pokaże. Nie chcę wkładać bezsensownego wysiłku w coś, co może skończyć się moją porażką. Może i jestem minimalistą, ale nie opierdalaczem. Po prostu jestem realistą. Znam swoje możliwości.

– To ci powiem, że więcej wysiłku wkładasz w to, czego nie potrafisz skończyć, w rozmyślania o, jak to mówisz: potencjalnych szansach, niż gdybyś

zaczął stanowczo działać. Coś zmieniał. Wymagał. Może nie jesteś dobry w te klocki.

– Rozsypują mi się. Taka karma.

– A tam, pierdolenie o Szopenie. Za mało się starasz. Nie masz energii?

– Niewiele, jestem pesymistą z natury.

– Pewnie, mamusia cię nie dopieściła, kochanka źle karmi, a ty biedaczku już z trudem oddychasz. Kotek mamrotek z ciebie. Postaw sprawę jasno. Facet jesteś, czy nie?

– Jestem, ale...

– Tego się od ciebie oczekuje.

– Każdy orze jak może – zauważył ten, co milczał pro forma, słuchając, a może wcale nas nie słuchając, bo dodał: – Może potrzebujesz odmiany. Każdemu z nas by się przydało wyrwać się stąd na trochę. Albo i na dłużej.

– No! Dobrze mówisz. To jest jakaś myśl – temu, co chciał mnie wyprostować, wyraźnie znudziło się pouczenie opornego. Szturchnął mnie w ramię, podając banknot:

– Zostałeś wybrany.

– Znowu? – zdziwiłem się umiarkowanie, bo wiedziałem o co chodzi, i że jako tako jeszcze kojarzę przy barze. – Nie dopiłem swojego.

– To dopij, nie będziemy czekać. Ponieważ musisz być bardziej aktywny, mianujemy cię jedynym i naszym przedstawicielem.

Wszedłem w tę najbanalniejszą z ról. Aby ją ubarwić, postanowiłem sparodiować odzywkę kumpla z liceum, którą witał nas przynosząc świeże kufle w czasie jednego z niezapomnianych i niepowtarzalnych młodzieńczo-szaleńcych wypadów w góry. Nie przeczułem, że tym osobistym wspomnieniem wpasuję się proroczo w nowy klimat. Niosąc trzy smukłe szklance z uzupełnionym zapasem płynu, ogłosiłem: – No, chłopaki, mamusia z rajchu wróciła!

Reakcja była zimna jak piwo. Chyba coś straciłem przez krótki okres mojego oddalenia się w wiadomym celu. Przy stole panował nastrój konspiracyjny.

– Siadaj i posłuchaj – zaczął ten, co wiedział czego chceć w życiu. – Jest plan.

Chwili skupienia nie zmącił tyk piwa.

– A plan jest taki: jedziemy.

– I nie musimy dodawać – dodał drugi – że to dotyczy też ciebie.

Sądząc po ich jednorodnych minach, oferta była bardzo poważna, zapewne przesądzona już wcześniej. Musiałem się jednak upewnić:

– Sprawa jest, jak rozumiem, najwyższej wagi?

– Najwyższej z możliwych. Tylko taka może być. Na śmierć i życie.

– Albo i, paradoksalnie, nie. Po prostu: jest plan, że jedziemy razem.

– Gdzie? – spytałem, bo od inicjatorów wymaga się szczegółów.

– To jest do uzgodnienia. Ważne, że jedziemy. Jedziemy?

Pytanie przewodnika stada czekało na twierdzącą odpowiedź, a po kilku piwach oferta aż iskrzyła atrakcyjnością, wydawała się bardziej realna niż cokolwiek innego. Padła między nas jak ziarno niespodzianki naniesione podmuchem wiatru,

odświeżającego zadymione wnętrza knajpy i naszych głów. Namiętność przefiltrowana z dusznej magmy zasiedzenia „Pod Aureolą”, teraz jeszcze bardziej, niż gdy tu przyszliśmy wygnani z domów, pchała nas naprzód, z jeszcze większym oburzeniem negowaliśmy niejasne zamiary zaliczenia nas w poczet świętych.

Więc oto siedzimy w knajpie, w środku miasta, o którym można dużo dobrego, ale można też nic ciekawego, powiedzieć wystarczy – trzech nieznanymi, co znają się ukradkiem od kilku lat, co nie pragną zbawienia, lecz, jakby to miało ich zakorzenie w czymś nieuniknionym, rozmnożyć w tysiące, dać przewagę i odporność na ból, zapewniają się, że to dla nich Maleńczuk śpiewa: „może wyjechać i nie wrócić?”, to o nich pisze Świetlicki, im dedykuje Stasiuk swoje ponure powieści. Że to za nimi tęsknią wszystkie samotne, opuszczone kobiety.

Męskie pojednanie. Coraz bardziej niezauważalne, aż staje się to nawykiem. Jedyne wyjście: wyjechać i nie wrócić...

Powiniem powiedzieć: życie to nie powieść, poczytasz i odłożysz, i kiedy chcesz możesz zajrzeć na odpowiednią stronę. Mówię:

– Owszem, pojechać gdzieś. Można by.

– Trzeba. Jest plan.

Pogodzeni, spełniamy rytualnie po tyku piwa, zaraz następna kolejka, kolejna paczka papierosów, jeszcze raz, że musimy to zrobić, że to czeka na nas od dawna, że wyrwiemy się, że przeżyjemy. Może nigdy nie będziemy zbawieni, przynajmniej bywamy zabawni. Owszem, pojechać. Każdy z nas już jedzie, każdy ma swój zegar. Jeden jest ślimakiem, drugi panterą, trzeci rekinem – tylko dlatego się nie zjemy. Póki co, bo „w naturze mamy ciągły ruch”, jak śpiewa inny, któremu ufamy, ustalając kiedy, dokąd, jak – co przeciąga się w niebываły orgazm wielokrotny. Delektujemy się i nasycamy, możliwości nasze przeogromne są dziś. Z północy na południe, z południa na północ, rozprzestrzeniając się na wschód i zachód, aż do nieubłaganego zenitu.

– Zapisać ci datę i gdzie się spotkamy?

– Zapamiętam.

Ale to tylko trick. Nie zapamiętam. Każdy z nas odbywa własną podróż i tory nasze się nie skrzyżują, choćbyśmy się tak tu bujali aż do świtu, co zresztą możliwe nie jest, bo barman przyzwie nas do swojego porządku, i nic nie da ostrą akcja oczyszczenia pełnej popielniczki na jego swetrze. To nie jego wina. Wina jest niczyja. Po prostu my musimy to zrobić, inaczej nigdzie nie wyjedziemy.

– Zapamiętasz? O dwunastej, w południe. Zapisać ci? Ale będziesz?

– Oczywiście, że będę. Gdzieś będę. Być może żaden z was nie trafi na mnie ani ja na was, choćbyśmy sobie teraz wytatuowali na dłoniach wszystkie dane.

– Sprawa jest poważna. Musisz być.

– Oczywiście. Będę. Tak sobie tylko gaworzę, bo nie wyszedłem z niemowlęctwa. Jest fajnie, ale musimy wracać, bo knajpa się skończyła.

– Są inne. Nie musimy wracać. Pojedziemy i nie

wrócimy. Ważne, żeby ruszyć. Żebyśmy się spotkali. I zrobimy to. Spotkamy się.

Teraz najłatwiej być pewnym. Za chwilę odejdziemy do swoich spraw. Na dwóch z nas czeka rozgrzana pościel, z czego skorzystamy i co niekoniecznie docenimy. Na jednego z nas, którym mógłby być każdy, nikt zapewne nie czeka. I może właśnie jemu zdarzy się cud.

W każdym razie spotkamy się. Tymczasem rozproszenie. Ale nikt z nas nie zawiedzie, jest nieodwołalna umowa. Pod groźbą, że jeżeli jednak nic z tego, to potem spotkamy się najwcześniej na chrzcinach mojego syna, którego nie mam zamiaru przywoływać z niebytu na świadka własnej nędzy, chyba, że sam się wprosi, wykorzystując roztargnienie potencjalnych rodziców, ale nawet wtedy, choć będę mu i z nim współczuł, nie popchnę go w czarne błoto schizofrenicznej i przepłaconej wiary. Sam zobaczy jak jest.

•
Znajome ściany, znajomy zapach wykładzin, znany szlak do lodówki. Za plecami nie czai się morderca, nie sięga po flakonik perfum.

– Wróciłeś.

– Wróciłem.

– Czego szukasz?

– Czegoś zimnego.

– Ja mam chyba gorączkę.

Odwracam się, żeby sprawdzić. Jest ślicznie rozespana. Chcę ją pocałować.

– Czego chcesz? – pyta, wykonując niezdecydowany ruch w moją stronę.

– Tak w ogóle, czy w tej chwili?

– Cały dzień myślałam o nas. Już nic nie rozumiem. Odczuwam dotkliwy brak kontaktu.

– Ja nie miałem czasu myśleć.

– Więc czego chcesz?

– Mówiłem, chcę się napić czegoś zimnego.

– Jest tylko sok jabłkowy.

•
tłum. red.

Jeżeli się spotkają,
to gdzie?

Co zobaczą: białego kruka
czy szarą wronę?

Jak daleko poniesie
wehikuł czasu?

Czy można mieć nadzieję
na szczęśliwe powroty?

Dokąd wiedzie
ścieżka snu?

Na odpowiedzi musisz poczekać.

A jeśli wiesz już co będzie dalej,
znaczy to,
że jesteś z tej bajki.

Józefina Prajs

Karnawał Boga

dzisiaj wieczorem
rozkruszą się ściany
dzisiaj wieczorem karnawał Boga
zaproszono
setki starych brudnych kapeluszy
pięść artysty i stopy żebraka
grube mury szklanych okularów
i zepsute od nie bycia prawdy

dzisiaj wieczorem
na karnawale Najwyższego
bawi się czarno-biała masa
a wewnątrz cały koloryt ludzkości

na zmęczonych dłoniach
pociągi doświadczenia
odjeżdżają
wracają by znów wykolejać sny

potęgują martwość przedmiotów
pełni myśli
że sami ciągle żywi
wierni
choć każdego dnia mniej
mkną drogą
wytyczoną płotem hebanowych krzyży
nie wiedząc że na końcu czeka
tylko
drewniana trumienka
na cholernie drogim
aksamitnym piedestale

Śmierć - to jutro
dzisiaj karnawał Boga
dzisiaj pijemy za Jego ostatnie marne
... grosze.

Józefina Prajs (właśc. Magda Krosny)
w liście do redakcji „bt” wyznała:
„Kocham słowa, bo z założenia pachną
abstrakcją.
Przenoszą nas w niezwykłą krainę, gdzie
gra kompozycji, barwy, światła i cienia,
dostrzegana tylko w konkretności, staje
się nagle jakby-realna: także jakby-ja
ujawnię się w tym niby-liście, poprzez
zabawę moją prywatną - poetycką wizję
rzeczywistości.”

Rafał Rydro

Plagi lipcowe

Zastopowany w południe, za zakrętem
przy drodze, siedzę oparty o pękatą metaforę
skrzydeł. Cień naciągnąłem do kostek,
w koleinach twarzy smaże asfaltowe łyż.

Jeśli z wioski dziewczyna dzban przyniesie
pytań, schłodzę się bajką dalekiej podróży.
Wyceluję w sandały, w sukienkę i pod, dla zabawy,
wypuszczę szarańczę wzroku. Czy zdąży?

Niestety, zawczasu burczy w brzuchu tir,
plecak z trzepotem pada na wznak,
kciuk wyślimacza odzew, co tłumaczą
innym razem wylęg plag.

Tenże

Na lata pożegnanie

Zmierzwione wzgórza zwodzą bujnością
wrzosów, ty przerażona bukietem zliczasz
do ostatniego, włos po włosie,
owijasz w ślubne bandaże płochliwe myśli,
już przyszli

przyszli okupanci. W plisach dwoi się i troi
trwoga o jedną spóźniona przysięgę.

Rydrę jako wyrafinowanego refleksjonistę interesują
przede wszystkim minione doznania, szczególnie zaś
niewykorzystane w przeszłości okazje, których teraz,
jako doświadczony już dwudziestoparolatek, na pewno by
nie przepuścił. Przez dłuższy czas był zafascynowany
„Kroniką wypadków miłosnych” i „Pannami z Wilka”, ale
w najnowszych próbach poetyckich stara się wypracować
własnoręczny styl. Przemianę odczuwania samego siebie
i watek autoironiczny w twórczości poety zapowiada
wiersz, przewidziany do publikacji w szóstym wydaniu
antologii „Macie za swoje”, zaczynający się od słów:

*Jest lato. Więc chodzę
wciąż na lekkim wzwodzie.*

Jednakże nadal aktualnym dla Rafała pozostaje finalny
dylemat autora-narratora z powieści „Bohiń”: „Ale czy
ja mogę być pozytywnym zakończeniem jakiegokolwiek
historii?”.

TY
LK
OS
PR
OB
UJ
NI
EZ
AM
IE
ŚC
IĆ
CZYLI
DE
BE
TY
ckie

Prosiaczek

Prosiaczek Jerzy wraca do Vaterlandu

Jerzy jadał namiętnie rzepe
Mawiał, mlaskając: „Z rzepy mam krzepę”.
W kąć rzucił znane walory diety,
Wnet zachorował ciężko, niestety.
Kwikiem narzekał na pieski swój los
Na szczęście wpadł raz kpt. Kloss:

„Verfluchte, Jerzy, co czynisz, halt!
Gdy nie posłuchasz, to będziesz kalt.
Wszak nauczają w szkołach od dziecka:
Od rzepy ginie świnia niemiecka”.

Menu więc zmienił prosiaczek Jerzy,
Jada już teraz jak się należy,
Rano, w południe, wieczór i w nocy,
Pożera Żydów i peńen mocy
Stwierdza z wschodniobawarskim akcentem:
„Warzyw nie darzę już sentymentem”.

Jerzy

prosiaczek Jerzy

mieszka u mnie prosiaczek Jerzy

mieszka u mnie prosiaczek Jerzy,
codziennie zjada siedem talerzy
zupy z boćwinką (lub jakąś inną)
i co dzień z miną bardziej niewinną.

afery, myślę, będzie nie lada,
gdy w końcu ukatrupię gada!

Tania
jotka
na
Bóźniczej
w Poznaniu

mkms

Czego szuka współczesna sztuka?

Sponsora? Zapewne. Ale doraźnie znalazła, co uwzględniono na afiszu. Może guza albo innej anomalii organizmu ludzkiego? Tego także, zdawają się sugerować reklamowe druki, na których dwie dłonie: kobieca, subtelna w geście przywołania, i ta druga - obrzmiała, naznaczona chorobą.

Czego jeszcze?

Zaintrygowany zapowiedziami, wybrałem się w poszukiwaniu odpowiedzi do Narodowego Muzeum na wystawę nowoczesnej międzynarodowej sztuki multimedialnej, pt. „Dotyk”. Już przy wejściu dopadło mnie przecucie, że świat idzie do przodu i wymagania rosną, ale wciąż, szukając spełnienia w tym co nas otacza, tkwimy w znanym niedosycie, który wypisuje się nam na twarzach.

Oto na wstępie przy stanowisku komputerowym dwóch rozluźnionych profesjonalistów. Można sobie u nich zrobić cyber-zdjęcie, a po sprawnej serii kliknięć komputer przetwarza nas i wkomponuje w ciąg przemian. Efekt z monitora cieszy. Performance dla każdego, kto chce by jego buźka przelała się płynnie w cudzą, jak na teledyskach M.Jacksona. Tak oto wyższa matematyka pinezką mikroprocesora przybliża nasze potrzeby: zaistnieć i uwiecznić.

Dawniej było inaczej, ale chyba szło o to samo, bo szło się gromadnie, trzymając za ręce, do wesołego miasteczka i tam wpasowywało oblicze w otwór w dykcje. Potem czekało się na zdjęcie, które trafiało do albumu rodzinnego, ale i tak już się było krasnoludkami albo parą nowożeńców.

Zaraz za progiem sali ekspozycyjnej metalowy łamaniec.

„X” - znaczy się, bo taki ma tytuł konstrukcyjny układ dwóch, podwieszonych nad posadzką, metalowych, wspartych na sobie listew. Ta, co ma być cięższa (doczepione do niej po obu końcach kamienie) wgniała w tę drugą różową poduszkę. Na czterech wylotach „iksa” małe przeźroczyste z wizerunkiem rozchylnych ust. W środku konstrukcji wspomniana poduszka, z której wydobywa się ciche kobiece mrużącando. Jeśli wejdziesz w interakcję i przyłożysz ucho, usłyszysz. Pomysł i wykonanie O.K., choć w dniu wernisazu wyglądała też dobrze: dolna listwa ugięła się pod kimś zbyt sennym w V i „X” był przestrzennie bardziej skomplikowany. Zadanie można uznać za zaliczone. Co dalej?

„Porta Maggiore”, jak zwał to zwał, wszakże to praca kuratora generalnego imprezy. Nie wiem jak przebiegał performance (od 12⁰⁰ do 13⁰⁰), podobno leżeli jacyś ludzie, ale pozostałe efekty były mi, jako miłośnikowi paranormalności, znane z czółówki serialu „Z Archiwum X”. W tym odcinku zaprezentowano: jak przy pomocy trzech projektorów wideo zrzuć na trzy ściany obraz głowy człowieczej ulegającej przekształceniom w płazę i na odwrót, aż do końca taśmy. A nawet i dłużej, bo od czego jest stały personel Muzeum?

Multimedia aktywizują. Co wyłączone, musi być włączone.

To dla obsługi Muzeum wystarczające utrapienie. A na dodatek ktoś nierozważnie ustawił 4 monitory na balustradach schodów. Na ekranach można się niebezpiecznie zapatrzeć w nagie, oddychające torsy. Co, jeśli widz zechce zbyt dosłownie zrozumieć tytuł wystawy? Ja nie dotykałem, bo po pierwsze - wiem od dziecka, że w muzeach zasadniczo się nie dotyka niczego, po drugie - były to tylko fragmenty torsów i nie dało się ostatecznie ocenić: czy kobiece, czy męskie. Dzieło w każdym razie kobiety.

Naprawdę nie chciałem robić kłopotu personelowi, więc skrociłem do Sali Kolumnowej. A tu ćwiczenie z zajęć projektowania przestrzennego. Zaliczyć, nie zaliczyć?

Sala ładna. Ale dlaczego między kolumnami postawiono dziś ściany? Co za nia? Pokaz na dwa telewizory i ławeczkę, co by przysiąść i podziwiać hollywoodzkie, lukrowane obłoczki, migające naprzemiennie i rytmicznie w smętym podkładzie muzycznym. Nostalgia? Trans? „Unity - Harmony”. Podać się? Prawdziwe niebo krwawi codziennie, ale zwłaszcza w obiektywie domowego okna bywa źle skadrowane. Wystarczy jednak chcieć urzecz więcej. Piszę o tym, nie dlatego, że pokazywanie poruszył (właściwie poruszył, bo nie chciałem siedzieć i popadać w telehipnozę), bynajmniej, po prostu chcę ukazać tło nieskończonych wypraw. Po złote runo nicości?

A propos nicości, jest tu także. Niedaleko, przy innej ścianie tej samej sali. Nic, a udaje jakieś spinki od mankietów czy inne przyłepce z ozdobnym srebrzystym paskiem. Nazywa się „Poznań 1998/1”. Nie wszedłem w interakcję.

I to był błąd. Jak się miałem później przekonać, nieuważa szkodzi (tej) sztuce. Pośpiech też. Coś jednak mnie pchało naprzód, by zaprowadzić do następnej sal(k)i.

I ujrzałem zjawy wyczarowane dzięki nowoczesnej technice. Zjawy, które były zwykłym człowiekiem w białej koszuli, co pojawiał się z mroku, stał lub przechadzał się, zniknął, by wracać, zakłętą w szklanej gablocie przezroczystych ekranów, przeświecający siebie w kierunku widza i rzutuający się mu wprost w oczy, ale też na ściany, które za nim. Jeszcze tu wróć. Się zjawie zjawie.

Póki co, na jawie, w kolejną wkroczyłem salę. Wróć! Wypłynąłem. Wypłynąłem na suchego przewstór oceanu. Głębiny zapewne pod nami, a my patrzymy tylko w chwiejną na falach sygnałową boję. Z wideoprojektora, rzecz jasna. Z głośnika dociera odgłos fal i ostrzegawczy dźwięk dzwonu. W innym miejscu jest przesłanie. W ciemnym zwierciadle odbija się treść

z monitora i można poczytać wyrazy (wykuliłem kilka: night, melts, in, distant, haze, cold, disturbance, solitary, meeting, slow, close, up... i jeszcze, ale nie zapamiętałem). Artysta angielski, tekst po angielsku, problemy po polsku: z odczytaniem sensu.

Dlatego zwracam ku zrozumiaym „Refleksjom” - do widmowej klatki autoportretu - Jessena Klozenbuchera. Zaprosiłbym go na piwo, bo dał się poznać jako człowiek, pokazał się wprost i z profilu, można było uchwylić z nim kontakt, a poza tym wykorzystał technikę na osobisty użytek, do celów znanych artystom od stuleci, człowiekowi od zawsze, gdy tylko odkrył na wodzie odbicie drugiego ja. To uspokaja i porusza, że wciąż chcemy na siebie i przez siebie patrzeć. Że jest taka potrzeba. I że niekoniecznie musimy się spieszyć, przerzucając katalogi mój wzorcowego wyglądu. Nerwową gonitwę za znikającym punktem można zastąpić skupioną przechadzką.

No właśnie. Zabrakło skupienia za pierwszym razem, po paru dniach wróciłem więc do nic nie znaczących „spinek”, tyle że w towarzystwie zorientowanej przewodniczki, która otworzyła mi ślepia.

Małe prostokątki z paskiem srebra pośrodku i wzdłuż, w rzadku wpięte do profilowanej przysiennej listwy, o których, że to nic myślałem, teraz - oświetlone odpowiednio - rzucały dwustronnie pofalowane cienie o różnym nasyceniu. A srebro bliższało z oddali. Takie (prawie) nic bez znaczenia... a jednak teraz rytmiczny ciąg jednakowych elementów stwarzał w moim oku stopniowalną, niejednorodną jawiskowość. Coś takiego! Że też nie widziałem tego wcześniej? Pewnie też wiele przeoczyłem w intrygująco poetyckiej instalacji, jaką zaprezentowała Izabella Gustowska.

„Powtórzenia”, czyli - jak myślę - rzecz o zawieszeniu w czasie. O skomplikowanej harmonii, w której każda zmiana nie przynosi żadnej zmiany, choć na pozór coś się stało i wciąż się wydarza. Cytat z L. Carrolla o dwóch kotach: białym i czarnym, prowokował śledczą sugestie, że wina leży po stronie kota czarnego. Ale w półmroku sali, oświetlanej ścienną videoprojekcją, zobaczyłem duży ruchomy obraz

pracującego taktomierza. Przed nim, na posadzce, stała równoważnia, a na środku niej mały monitor emitujący widok tego samego taktomierza zsynchronizowany z projekcją ze ściany. Wzmiankowane koty (czarne i białe), sfilmowane przez artystkę, objawiały się również na ekranach niedużych monitorów, osadzonych wewnątrz druczanych dłoni i umieszczonych na końcach równoważni. Równoważnia przechylała się na stronę kota czarnego, a odmierzany czas upływał takt za taktem. Dało się go (czas) sprowadzić do miarowych odgłosów strzałki wychylającej się raz w jedną, raz w drugą stronę, przyspieszającej, to znowu poddanej powolnemu rytmowi. Pomyślałem, że, choć mierzony (a może właśnie dlatego), czas upływa bez mojego udziału. Można spojrzeć na to inaczej: czas zależy

ode mnie, to kwestia wyboru, któremu z kotów zaufam. Żadnego jednak nie dało się dotknąć. Racjonalizując spostrzeżenia: jak dla mnie oba koty wykonywały te same ruchy, były takie same, bo to był jeden kot. Ten czarny był bliźniaczym negatywem białego. Różniły się tylko sposobem wydobywania na jaw ich wyglądu. Czas płynie i zarazem trwa. Role kotów są tożsame. Swą obecnością podtrzymują - czy raczej: wprawiają nieruchomo w constans - chwiejną równowagę, którą można zniszczyć dodekliwością rozumu. Czas? To ja poruszam się wciąż skądś - dokądś. Naprzód i wstecz.

Wychodząc, zahaczam o pozostałe propozycje ekspozycji:

Po prawej - za czarną folią - halki z wizerunkami męskiej twarzy (ohyba autora?) zwisające na żarówkach jak biedne lampiony. Freudyzmy Nikodema Dyżmy.

Po lewej - też pomyłkowo zaliczona do sztuki, za to w swoisty sposób opisująca kondycję malarstwa - dokumentacja wykorzystania poznańskiej zieleni miejskiej dla celów wiadomych autorowi, z czego efektami w postaci projekcji slajdu nie omisszał się podzielić: w parku drzewa, a przed nimi na sztalugach obrazek przedstawiający drzewa. Te pierwsze prawdziwe, te drugie wg obrazu Poussina „Ziemski Raj”. Wymęczona tautologia wysiłku. Chyba nic tym razem nie przeoczyłem?

Jeszcze na koniec fajne Modern Minimal Disco. Żeby usłyszeć, trzeba założyć słuchawki, a żeby je założyć, należy stanąć na podwyższeniu niedużego, akurat dla jednej osoby, żelaznej platformy, która drży, pod wpływem muzyki, co powoduje, że dźwięki wypełniają ciało wibracjami. Nie dla kobiet w ciąży i o wrażliwych na impulsy organach wewnętrznych, dla miłośników Vivaldiego też raczej nie.

Wychodzę w dobrym nastroju, bo choć miejscami było ciemnowo, obło się bez żadnego guza.

Przy wejściu (dla mnie wyjściu) ciągle emisja teledysku. Przybyło twarzy i chętnych z twarzami. Praca w toku. „Links of a chain. A very personal performance.” I fajnie.

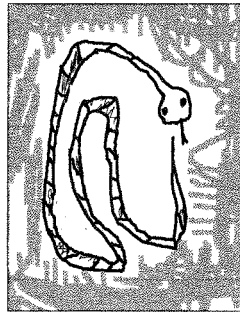
Ale myślę sobie, że jakby się tak zastanowił, to w tej rejestracji jest coś z unifikacji. Byłoby to jakiś trop na recenzencki top. Niestety mam zbyt dobry humor, zamiast analizować - zaczynam rymować:

Każdy chce coś zachować, czas przystopować, w nim się uformować.

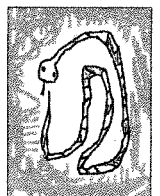
Jedni chcą transu, inni wyciszenia, lecz to to samo - sztuka się nie zmienia.

Bo szuka sztuka uzasadnienia w nas. [d.s.]

K
O
N
I
E
C
W
A
K
A
C
J
I



B
E
Z
P
R
O
W
O
K
A
C
J
I



byłaś
szkiełkami w marnym naszyjniku
odpuśtową fajarką
ostatnią tandetą jaką bym kupił
pierwszą ozdobą mojego jarmarku
HOMO ANONIMUS

Andrzej Wręczny

poniekąd

utraciłem sen
w ślinie rozgniecionych małży
metamorfoza, to za chwilę
schwytam chłodną rybę
cały mój połów

w życiu swym twoim to raczej
nie byłem nadzwyczajnie
niecierpliwie gdzieś oczekiwany
bywało, generalnie jednak nie
czuję, nie muszę

w pogłosie kruczych dziobów
przez nie doliczone kilometry
od błysku do gradobić
trwonię bielmo w bruzdy
skutej marazmem gleby
co nie wskrzesi, nie przechowa

w więzi przenośni bezdusznych
miłości, nie rodzi się
bez pożegnania nikt
więc żegnaj, do widzenia
w lepszych czasach

masz we mnie spełnienie
brutalnego snu, w którym
bierzesz mój lęk w swoje usta
gdy ja gram
w świetle milknącego żartu
niewymowną cme

odrośnie głowa, przeczuwam
ciała skręt mrowienie pięt
dasy oczopłasy, nadaremne
oswajanie suczki pamięci

skaza odmiennosci jest
zastępczym sumieniem
nie zmienisz tego
ja też nie zmienię

w prześmiewczej pozie błazen
sensu w poszukiwaniu
wymykających się faktów
na czworakach lży pustkę
zamroczenia

dojrzewamy do obojętności
dojrzewamy do prawdy
która jest nudna

jak brzmiały ostatnie słowa
pociechy? trochę żal
ale cóż, берет włóż
nie muszę nic udawać
nie muszę wykradać wzruszeń

tak blisko do końca
tak daleko od początku
nocy, prześcieradło sztywne
od nadmiaru skarg nasiąka już
sokami cudzej puenty

Z NOR WIDZENIA

Czasy skończone!

- historii już nie ma,

Tworzenie tylko

w bezbrzeżnej

otchłani

Krystyna Stok

SAMOTNOŚĆ

Zaczyna się deszczem.

Kruchy, drżący poranek.

Dzień traci kolor jak człowiek

chory na białaczkę.

Bezradnie roztargnione przetaczanie się

jak burza przez łóżko potrzeb

wypełnia noc.

Zimno. Jedyna krystalicznie czysta myśl

to uchwycone poczucie osamotnienia.

W samotności wszystko dzieje się wolniej.

W samotności dostaję do kawy podwójną ilość cukru.

Czuję pot na plecach i odpływ energii z całego ciała.

Głód. Pragnienie.

1. Tęsknota za

prawdziwością.

Jest jesień.

Chcę pozbyć się zwątpienia.

Pierwszy śnieg przyprószy

wyrzucone na śmietnik

resztki od lat ukrywanych

słabości.

3. Tęsknota za skupieniem

i „byciem pożytecznym“.

Ucieczka od całkowitej

swobody i powrót nie dają

pewności odzyskania bezpieczeństwa.

Koryto rzeki codziennych zdarzeń wypełnia ściek

z pobliskiej Rzeźni. Ja też tam pracuję.

Siekam na kotlety kolejne porcje informacji.

Tak mało ważnych, a tak przejmujących.

„Sa sytuacje, w których jest się właściwie nikim, czyli człowiekiem jako takim. Inni, ci wokół, stają się wtedy naprawdę Innymi. Obcość przybiera materialną formę ludzkich ciał, architektury i zapachu powietrza. W pewnym sensie przypomina to ponowne narodziny, tyle tylko że przed światem nie chroni nas niemowlęca nieświadomość; wprost przeciwnie - jesteśmy obdarzeni hiperświadomością istoty zagrożonej.“

/A. Stasiuk

„Wycofał się do samotni wyłącznie dla własnej przyjemności, tylko po to, by zbliżyć się do samego siebie. Pławił się w swojej własnej egzystencji, której nareszcie nic mu nie zakłócało, i uważał, że to wspaniałe. Leżał w skalnej krypcie jak swój własny trup, ledwie oddychając, z ledwie bijącym sercem - a przecież żył tak intensywnie i rozwiązał, jak żaden goniący za ucieshami człowiek w świecie zewnętrznym.“

/P. Süskind, Pachnidło

